

Korytarz na pierwszym piętrze był ciemny i obskurny. Ściany i drzwi pomalowano kiedyś olejną farbą, ale z czasem nabawiły się łuszczycy i dziś trudno było odgadnąć ich pierwotny kolor. Okno, które mogło być jedyną nadzieją na rozjaśnienie i rozweselenie tego miejsca z nieznanymi przyczynami pozostawało zasłonięte. Pewnie nie oferowało pięknego widoku więc wysłano je na wcześniejszą emeryturę. Wszystko: od podłogi, przez ściany a na suficie kończąc wymagało jeżeli nie remontu to solidnego odświeżenia.

Matt nie narzekał, w Rosewood trudno było o inny nocleg. Poza tym to miejsce miało kilka zalet. Miła i kulturalna właścicielka wynajmowała pokoje za grosze. Nie zważała na to, że nie ma absolutnie żadnej konkurencji a sama nie narzeka na nadmiar gotówki. Chciała być uczciwa.

Próbował odplacić jej tym samym. Dlatego właśnie stał teraz z miotłą w dłoni i z mieszanką bezradności oraz smutku patrzył na powolny upadek miejsca, które w czasach swej świetności mogło konkurować z większością znanych mu hoteli.

Przyzwyczał się do czystych, choć nieco spartańskich warunków, do tego, że przy każdym, nawet najmniejszym ruchu z protestem odzywała się do niego deska, sprężyna lub zawias. Wszystkie zgrzyty, szmery i trzaski przyjmował jako coś naturalnego, już prawie nie zwracał na nie uwagi.

Rano, po przekroczeniu progu, usłyszał nieznane dotąd chrupnięcie.

- Że co? – mruknął zaspany.

Nieco zaskoczony leniwie spojrzął pod nogi. Dość długo próbował zrozumieć co się właśnie stało. Rozespany mózg opornie przetwarzał otrzymane bodźce, ale Matt szybko poczuł wstyd, wypływający palącymi plamami na policzki. Pod drzwiami jego pokoju leżały drobne gałązki i całkiem pokaźna warstwa piasku.

Wzruszeniem ramion przegonił zbierające w nim zdziwienie. Spośród wielu wyjaśnień, które przyszły mu do głowy najlogicznym było zrzucenie winy na siebie. Najwyraźniej zapomniał wczoraj dokładnie wytrzeć ubranie i wyczyścić buty. Przez zwykłe gapiostwo miał przysporzyć ludziom niepotrzebnej pracy. Nie czuł się z tym dobrze. Starając się nie narobić większego bałaganu zszedł po schodach.

W recepcji siedziała właścicielka i jednocześnie jedna z niewielu pracowników hotelu. Była to pulchna, wciąż radosna (i tak samo nieodzownie zaczerwieniona) oraz bardzo energiczna starsza pani. Sprawiała wrażenie dobrotliwej, troskliwej, takiej, u której zawsze znajdziesz nocleg i ciepły posiłek. Te niewątpliwie dobre cechy raczej nie szły w parze z głową do interesów. Oprócz niej pracowała tu jeszcze trójka jej dzieci – dwie córki i syn, ludzie podobni do matki jak dwie krople wody. Więcej pracowników Matt póki co nie miał okazji poznać.

- Jak ci się spało, złociutki?

Zwracała się tak do każdego, niezależnie od wieku i nikt, nawet najbardziej zadufany w sobie typ nie miał by odwagi jej tego wyperswadować. Mówiła to wszystko przyjaznym tonem babci odzywającej się do ukochanego wnuczka. Potrafiła znikąd przywołać zapach herbaty, ciasteczek i domowego obiadu. Opierała się przy tym o blat i uśmiechała tak zaraźliwie, że nie sposób było nie odwzajemnić jej uprzejmości.

- Całkiem dobrze ale... potrzebuję miotłę.

- Posprzątam, powiedz tylko gdzie.

- Nie, nie ma mowy, sam to zrobię. Głupia sprawa, nabałagałem, naniósłem piachu... - nalegał, czując, że tłumaczy się jak czternastolatek przyłapany na paleniu.

- Nie licz, że obniżę ci za to cenę noclegu, złociutki! – odparła szczerze rozbawiona i pogroziła mu serdelkowatym palcem.

Matt odpowiedział śmiechem po czym wziął miotłę i szufelkę. Pomyślał, że kiedyś przyjdzie mu słono zapłacić za posiadanie aż takich skrupułów.

Dokładnie zebrał cały piach, każdą gałązkę i listek i nie przyglądając się zawartości szufelki, wysypał ją do kosza. Mały, złoty guzik ozdobiony pośrodku lekko wytartym herbem już na zawsze został niezauważony, pogrzebany i zapomniany.

\*\*\*

Tego dnia pogoda nie utrudniała życia mieszkańcom Rosewood. Wyglądało na to, że znudzona i rozkapryszona natura dziś postanowiła odnaleźć się w roli miłosiernej matki. Matt cieszył się z tej, nieoczekiwanej zmiany.

Mimo wszystko w pełni rozkwitłe lato nie dawało o sobie zapomnieć. Słońce wychylało się zza osłony puszystych chmur i próbowało pogłaskać każdego kto się napatoczył, a wiatr, delikatny i przyjemnie chłodny z miejsca poprawiał humor.

Ulica świeciła pustkami. Jedyne znajdujące się na niej samochód stał zaparkowany w cieniu rozłożystych gałęzi klonu. Kierowca zdawał się obserwować Matta, lecz nie sposób było tego zweryfikować. Wprawdzie zatrzymał się blisko, raptem kilkadziesiąt metrów od wejścia do hotelu, ale wzrok ukrył za ciemnymi szklami przeciwsłonecznych okularów. Równie dobrze mógł mieć zamknięte oczy. Zresztą Matt był jedynym ruchomym obiektem w okolicy, musiał pogodzić się ze wzbudzonym zainteresowaniem. Wreszcie jednak kierowca, najwyraźniej znudzony oczekiwaniem, uruchomił silnik i powoli zniknął za zakrętem.

Matt postanowił rozpocząć dzień od wizyty w bibliotece. Wybór ten był efektem kompromisu: serce podpowiadało mu, że powinien udać się znów do lasu, jednak rozum (tylko odrobinę podszyty strachem) sugerował, że do rozwikłania zagadek Rosewood potrzeba merytorycznego przygotowania.

Mimo pięknej, pozytywnie nastrojającej do życia pogody czuł się wyjątkowo nieswojo. Całą drogę walczył z rosnącym w nim poczuciem winy, zażenowaniem i niepewnością. I nie, nie chodziło mu o poranny fitness z miotłą - problemem było Rosewood.

No i Lilly.

Matt nie lubił małych miasteczek, tak dla zasady i w hołdzie uprzedzeniom. Był dzieckiem szarych blokowisk, wychowanym wśród oparów benzyny i dźwięku klaksonów. Czuł się świetnie w miejskiej dżungli, a Rosewood było jedynie zagajnikiem. Z miejsca uznał, że pobyt tutaj nie będzie dla niego przyjemnością.

I wtedy w jego życiu pojawiła się Lilly.

Rosewood nadal nie przypadło mu do gustu. O nie, nawet Lilly, sama cudowna Lilly nie potrafiłaby tego w nim zmienić. Łapał się jednak na tym, że dziewczyna delikatnie, nieświadomie, ale bardzo skutecznie modyfikowała jego światopogląd. Odkąd ją spotkał przyglądał się uważniej miasteczku, jak gdyby próbując na nowo znaleźć w nim coś interesującego. Ba, powoli przyznawał nawet, że jest całkiem ładne. Nie irytowała go już tak bardzo wizja zostania tu na dłużej. Tłumaczył to sobie towarzystwem Lilly, i nie podejrzewał, żeby była to zasługa samego Rosewood.

Teraz dostrzegał wyraźnie, jak łatwo jest zmienić faceta. Szczególnie kiedy w pobliżu jest kobieta, dla której warto się poświęcić.

Nie miał jednak pewności czy była nią Lilly.

\*\*\*

Biblioteka, jak już wczoraj zauważył, z zewnątrz nie wyglądała zbyt ciekawie. Ale za to przy bliższym poznaniu okazała się być ładnym i całkiem dużym obiektem. No i nowoczesnym, szczególnie jeżeli chodzi o dobór drzwi.

Wyglądały jakby wymontowano je ze stacji kosmicznej. Do tego podczas ruchu wydawały dziwny syk, rodem ze starych filmów sci-fi. Najwyraźniej uruchomiono plan B i zamiast orbitować wokół Ziemi wylądowały tutaj. Trudno było się nie uśmiechnąć przechodząc przez nie po raz pierwszy. Trudno było również nie oczekiwać tego, że kiedyś ktoś się przy ich pomocy teleportuje.

Mattowi przypadło do gustu schludne, urządzone minimalistycznie wnętrze. Lekko mleczne oświetlenie miło podkreślało proste linie regałów i półek a stonowane kolory ścian i mebli wprowadzały nastrój spokoju i koncentracji.

W całym tym futurystycznym otoczeniu bibliotekarka wyglądała nieco dziwnie. Człowiek oczekiwał po takim wstępie czegoś specjalnego, może pomocnego robota? Poza tym była szara i nijaka. Matt nie potrafił oszacować ile ma lat. Mimo wszystko zdawała się lubić swoją pracę - uśmiech nie zniknął jej z twarzy.

Jak wśród cholernych azjatów – pomyślał Matt – wszyscy tacy sami. Identyczni. Za nic ich nie rozróżnisz. To przez ten wszędobylski uśmiech. Nigdy nie sądziłem, że można tęsknić za brzydkimi, wiecznie niezadowolonymi z życia ludźmi.

- W czym mogę panu pomóc? – spytała uprzejmie, ale jej oczy, wyglądające jak doklejone do nienaganie wykrzywionych ust, obserwowały Matta podejrzliwie.

- Szukam czegoś o Rosewood. Nie jestem stąd – dodał nie mogąc znieść niebieskich koralików przewiercających go na wylot – zepsuł mi się samochód, naprawa trochę potrwa, pomyślałem, że znajdę jakąś ciekawą lekturę.

- Ach, to pana samochód stoi u Roba... Zastanawiałam się czemu pana nie kojarzę, a to wiele wyjaśnia. No tak, no i to pan był ostatnio z tą młodziutką Wondroos, tak, tak, faktycznie, że też od razu pana nie poznałam! W końcu...

Trajkotała długo. Zbyt długo. Było to zupełnie niepodobne do żadnej bibliotekarki, którą znał Matt. Nie pasowało również do niej samej, szarej myszki, która powinna być, wedle jego przewidywań, stereotypowo cicha. Matt postanowił dać się jej wygadać nie okazując znużenia. Nie ucichła podczas wyrabiania karty bibliotecznej, nie przestała mówić również wtedy, kiedy weszli pomiędzy regały. Poza nimi w bibliotece nie było nikogo.

- Czego konkretnie pan szuka? Historia? Geografia? – pytała przesuwając palce po grzbietach książek.

- A beletrystyka? - zasugerował licząc na łatwy i przyjemny początek śledztwa.

Dłoń bibliotekarki drgnęła i na ułamek sekundy zatrzymała się nad którymś z tomów.

- Coś się znajdzie. Ale ostrzegam, nie będzie to pasjonująca lektura. Mógłby pan poczekać przy moim biurku? – poprosiła wskazując drogę wyjścia z labiryntu regałów.

Wróciła po kilku minutach niosąc cienki, nieomal zeszytowej grubości wolumin w dość zniszczonej oprawie. Zatytułowany był „Su”.

- To zbiór opowiadań – zaczęła kładąc dzieło na blat – Autor jest z Rosewood, nadal tu mieszka i ma się dobrze. Gdyby zapalał pan miłością do jego twórczości – ostrzegam - niechętnie gości fanów. Zresztą książka nie przysporzyła mu wielu nowych a i nie pamiętam żeby Walt, znaczy się autor, publikował coś jeszcze. Ni to fantasy, ni to horror, trochę groteski. Nie traktuje bezpośrednio o Rosewood, ale zawiera sporo nawiązań i aluzji. Jesteś pan pewien? Może zamiast tego, nie wiem, chociażby Dostojewski?

Matt był pewien. Przekornie przeczuwał, że książka przypadnie mu do gustu.

- Tak, to moja ostateczna decyzja.

Bibliotekarka zmieniła uśmiech na wyjątkowo sztuczny i paskudny. Przeciągnęła kartę w czytniku i z wyraźną dezaprobatą podsunęła książkę bliżej Matta.

- Miłej lektury – dodała słodko.

Matt zwinął książkę w rulon i korzystając z jej niewielkich rozmiarów próbował wepchnąć ją w kieszeń. Szybko jednak doszedł do wniosku, że nie odpowiada mu taka forma obcowania ze sztuką. Książka wyładowała w hotelu a Matt wyruszył sprawdzić czy Lilly nie była jedynie sennym marzeniem.

\*\*\*

Słońce oblegało Rosewood lecz miasto nie wyglądało na skore do kapitulacji. Matt nie sądził, że spędził w bibliotece aż tyle czasu. Południe wzięło go z zaskoczenia.

Twarz jednego z przechodniów wydała mu się znajoma. Mimowolnie wyłowił ją z grupki innych i bezskutecznie próbował przypomnieć sobie skąd ją kojarzy. Nie wyróżniała się niczym szczególnym poza jednym, ważnym detalem: nie znać na niej było uśmiechu.

Mężczyzna uważnie obserwował Matta. Był ponury, ale nie smutny. Po prostu nie wyglądał na człowieka, do którego chciałoby się zagadać na ulicy. Kiedy ich spojrzenia się skrzyżowały Matt spróbował uśmiechnąć się do niego lecz nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Nieznajomy wsiadł do zaparkowanego

nieopodal samochodu, założył ciemne okulary i powoli uruchomił silnik.

\*\*\*

Lilly ugiwała się pod ciężarem ogromnego, wypchanego śmieciami worka. Była zziębnięta, brudna i w tym momencie niezbyt zadowolona ze swego życia.

Matt uważał, że nadal wygląda uroczo. Zmęczona, z włosami przyklejonymi do karku i czoła nie prezentowała się wcale gorzej niż wczoraj. Najwyraźniej nic nie mogło jej zaszkodzić.

Kolejny worek wyrzucali już razem. Lilly zmieszała się wyraźnie na widok Matta i kiedy tylko uwolniła ręce rozpaczliwymi ruchami próbowała się nieco uporządkować. Mimo to uśmiechała się szczerze i przyjaźnie.

- Co słychać? – spytał.

- Ciężki dzień – wytłumaczyła ocierając pot z czoła – dzisiaj będę musiała zostać do późna w barze...

- Szkoda. Miałem nadzieję, że cię gdzieś porwę.

- Niestety – odparła zasmucona, ale po chwili dodała radośniej – ale wiesz co? Mam pomysł. Znajomi startują z nowym zespołem. Nie wiem co dokładnie grają, ale jak ich znam będzie to coś dobrego. Jutro mają swój pierwszy koncert. Chciałbyś pójść?

- Jasne. Bardzo chętnie.

- No! Mam nadzieję. A teraz sio! Idź sobie bo przegadamy całą przerwę na lunch a drugiej nie dostanę!

- Dobrze. Ale jeżeli stwierdzisz, że jednak rzucasz pracę to czekam nad jeziorem.

- Ty patentowany leniu! – wygarnęła mu ze śmiechem – Daleko nie zajdziesz z takim podejściem.

- Nie chcę żebyś została w tyle!

\*\*\*

Las, oglądany z plaży, przypominał zwartą i nieprzeniknioną ścianę. Zieleniał z dumy i choć trwał w idealnym bezruchu, to człowiek instynktownie oczekiwał, że niedługo coś zmaćwi jego spokój i wylezie z ciemnych szczelin ziejących pomiędzy sztachetami drzew.

Matt ciągle zerkał w stronę zarośli. Kątem oka łowił (lub też wmawiał sobie, że to robi) niepokojący ruch gałęzi, przemykające cienie i sylwetki. Nie pomagała zmiana pozycji, nie pomagała próba skupienia się na czymkolwiek innym, las przyciągał wzrok i nie dawał o sobie zapomnieć.

Ciepły, czysty i drobniutki piasek przyjemnie drapał skórę, słońce opalało, ale nie spalało na węgiel. Zwiewne fale z cichym szumem rozchlapwały się na brzegu. Plaża sprzyjała odpoczynkowi, była urocza. Należycie spełniała swą rolę o ile nie było się przewrażliwionym na punkcie lasu.

Matt na szczęście miał ze sobą książkę. Przewornie zabrał ją z hotelu bo, jak sam dobrze wiedział, bez-

czynny odpoczynek szybko go nudził.

Okładka była mocno sfatygowana. Odpadające kawałki przyklejono wprawdzie taśmą, ale nie wyglądała przez to ani ładniej ani solidniej. Znajdował się na niej jedynie enigmatyczny tytuł. Nazwisko autora schowało się pod plamą z kawy i wszystko wskazywało na to, że czytelnik w środku znajdzie wiele podobnych kleksów.

Książka zawierała kilka krótkich opowiadań a tytułowe było wśród nich najdłuższe. Główna treść została poprzedzona przedmową.

Poza tradycyjnymi, ogólnikowymi podziękowaniami dla „wszystkich tych, którzy mieli wpływ na kształtowanie się tekstu” (oraz bardziej osobistymi: „dzięki Jane! Bob, bez Twojej kawy nie dałbym rady!”) nie zawierała nic wartego zapamiętania. Pojawił się w niej również zapis wyjaśniający, że dzieło jest tworem fikcji a wszelkie podobieństwa do prawdziwych miejsc, zdarzeń lub postaci są przypadkowe. Na koniec autor napisał kilka miłych słów do czytelników i zachęcił ich do lektury.

Matt, znużony przydługim wstępem, nie dał się dwa razy prosić.

\*\*\*

Nagle obok głowy Matta eksplodował gejzer piachu. W tym samym momencie coś twardego i sprężystego przetoczyło się po jego brzuchu i wylądowało w wodzie. Oślepiiony, przestraszony i zdezorientowany zdołał jedynie usłyszeć niezrozumiałe okrzyki oraz wysoki pisk. Tyle wystarczyło żeby zorientować się w sytuacji.

Dzieci.

Mali barbarzyńcy przebiegli przez plażę siejąc zniszczenie porównywalne do nalotu dywanowego. Ich szarża skutecznie oderwała Matta od lektury. Zdążył przebrnąć raptem przez kilka pierwszych stron. Właściwie nie miał nic przeciwko takiej odmianie. Tekst nie należał do najlepszych jakie czytał - nie był zupełnie zły ale po prostu nie wciągał.

Jazgocząca i rozrabiająca gromadka w okamgnieniu zakotłowała się wokół Matta. Jednak zanim zdążył się podnieść wyraźnie przestraszeni malcy wskazali coś sobie palcami i pobiegli dalej. Matt usiadł próbując doprowadzić się do porządku. Wyczuł, że ktoś stoi za jego plecami a po chwili usłyszał chrząknięcie.

- Dzieci, ha?

Był to mężczyzna w średnim wieku, policjant. Funkcjonariusz, używając miłej nowomowy: nieco zbyt postawny, ewidentnie nie miał ochoty na ściganie się z małolatami. Mimo przyjaznej, misiowatej aparycji nie wzbudził sympatii Matta. Niektórych ludzi nie lubi się bez konkretnego powodu. Wystarczy że są.

- Trzeba toto wychowywać a nie puszczać samopas – zawyrokował przecierając łysinę pulchną prawicą. Wyciągnął dłoń w stronę Matta ale szybko się zreflektował i ograniczył do zaskładowania – John. Jestem ręką sprawiedliwości w Rosewood.

- Matt Kibuvits. Jestem...

- Ach, proszę przestać! – przerwał – wszyscy tu chyba wiedzą kim pan jest. Nieczęsto mamy gości.

- Aha? – mruknął nie znajdując lepszej odpowiedzi

- Tak więc nie ma co liczyć na anonimowość. Mam nadzieję, że panu na niej nie zależy – zaśmiał się jowialnie.

Matt nie odpowiedział, ale posłał mężczyźnie wymowne spojrzenie. O ile wcześniej to podejrzewał, o tyle teraz był pewien: John należał do grona osób, których nie potrafił tolerować. Irytował go sposób mówienia policjanta, tembr głosu, poczucie humoru, ba, nawet śmiech. Nie umiał przezwyciężyć niechęci.

- No nic. Chciałem tylko powiedzieć, że jestem do usług. Gdyby coś się stało. Ale przecież nic się nie stanie – dodał dobitnie, wlepiając w Matta swoje małe, świńskie oczka - Nie szuka pan kłopotów.

W odpowiedzi otrzymał jedynie niepewne wzruszenie ramion.

- Jak samochód? – zagaił po chwili nadal licząc na nawiązanie dialogu.

- Wciąż w naprawie. Niedługo powinien być gotowy.

- To wspaniale! Będzie mógł pan wreszcie wyjechać.

Po twoim trupie – pomyślał Matt. Nie wiedział za kogo uważa się policjant ani tym bardziej za kogo uważają jego samego, ale nie podobał mu się ton i temat rozmowy. Mimo to potaknął uśmiechając się sztucznie. Chciał mieć policjanta czym prędzej z głowy.

- Na pewno ma pan wiele obowiązków poza Rosewood. Nie chcielibyśmy żeby ucierpiał pan przez pobyt tutaj. A może załatwić panu transport? Samochód można odebrać w każdej chwili, Rob da znać telefonicznie i jakoś to zorganizujemy.

- Nie, dziękuję. Dam sobie radę.

Policjant potaknął, zasalutował i odszedł do radiowozu.

\*\*\*

Staruszek zamieszkujący chatkę na wyspie uważnie obserwował całe zdarzenie. Mamrotał przy tym pod nosem i gwałtownie gestykulował, lecz nikt go nie zauważył. Mało kto spoglądał tego dnia w kierunku środka jeziora.

Matt resztę popołudnia spędził na plaży. Dokończył lekturę pierwszego opowiadania, zaczął czytać kolejne, ale znów utknął po kilku stronach.

Lilly, zgodnie z obietnicą, nie przysłała, ale aż do wieczora łudził się, że może jednak ją zobaczyć.

Wrócił do hotelu niedługo przed nastaniem zmroku, bezpodstawnie zawiedziony i smutny.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z

dnia 4 lutego 1994r.).

---

Rodion, dodano 24.01.2015 20:10

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).